POLISH WEEKLY. OBYWATEL. THE CITIZEN.
OBYWATEL'S BUILDING BATHGATE AVE. N.Y. CITY.

OBYWATEL THE CITIZEN

Rok II. New York, 22 Lutego 1896 Nr. 9.

ZE SWIATA.

* Rząd rosyjski wstawił do budżetu na rok 1896 ośmnaście miljonów rubli na budowe okrętów.

* Uroczysty wjazd cara do Moskwy naznaczony w cerkwi Uspońskiej na 12go maja.

* Pociąg ekspresowy jadący z Paryża do Konstantynopola, ugrząsł w śniegu w Rumunii.

* W Zurychu w Szwajcarji, studentki poturbowały pewnego profesora, występującego przeciw emancypowaniu kobiet

* Francuski handel wywozowy zmniejszył się od 1894 r. 1896 o 1250 miljonów franków tj. 250 miljonòw dolarów; dług państwa powiększył się kilka miljonów, a wydatki o 100 miljonów dolarów.

* Papież rzucił klątwę na księcia bułgarskiego, za to, że tenże kazał swego syna Borysa podług greckiego obrządku przechrzcić.

* Krawcy w Niemczech ogłosili bezrobocie; liczba strajkujących wynosi już przeszło 50,000. Strajk rozszerzył się na miasta Berlin, Hala, Szczecin, Hamburg i Mannheim.

W poniedziałek 24go b. m. odbedzie się miesieczne posiedzenie „Sokołów", na któ- każdy członek obowiązany się stawić.

Sprawy Towarzystw.

Szanowna Redakcjo!

Upraszamy uprzejmie o zamieszczenie w łamach swego pisma sprawozdania, a mianowicie:

Na posiedzeniu „Zjednoczenia parafian przy kościele św. Stanisława B. i M. w New Yorku" odbytem dnia 16go lutego 1896 roku przy bardzo licznym współudziale członków, uchalono jednogłośnie ustanowić organem tegoż „Zjednoczenia" tygodnik „Obywatel" zostający pod zarządem Szan. Redakcji, w miejsce dotychczasowego organu „Gazety Polskiej" miejscowej a to z powodu, że taż Gazeta Polska działała na szkodę „Zjednoczenia", szerzyła tendencyjnie nieprawdę i nie znajdowała w szpaltach swoich miejsca na zamieszczenie korespondencji od Zjednoczenia pochodzących, zapełniając takowe raczej napaściami na osobistości i różnego rodzaju wyzwiskami, które w piśmie peryodycznym dla szerszego ogółu przeznaczonem miejsca w żaden sposób mieć nie powinny.

Zwracamy tedy uwagę Szanownych Członków „Zjednoczenia", aby dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień z wydawnictwem Gazety Polskiej, zawiadomili ustnie lub pisemnie Redakcję tejże gazety, iż nie życzą sobie nadal odbierać tego pisma, w przeciwnym bowiem razie według prawa tutejszego byliby obowiązani zapłacić Redakcji należną prenumeratę.

Nakoniec upraszamy wszystkich Członków, aby na najbliższem posiedzeniu miesięcznem zapłacili do rąk komitetu po 50 centów jako pierwszą ratę należności za „Obywatela", który odtąd regularnie co tydzień będzie im doręczany.

Nadmieniamy zarazem, że ponieważ zachodzi konieczna potrzeba sprawienia niektórych aparatów kościelnych a mianowicie: kielicha, alby i kapy białej, przeto miejscowy proboszcz Wiel. ks. Jan Strzelecki będzie kolektował w czasie sumy w towarzystwie dwóch członków parafii, i mamy nadzieję, że Szan. Członkowie „Zjednocznia" nie poskąpią na ten cel grosza.

Z poważaniem

Komitet.

ODEZWA
od Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego

DO

Szanownych Braci Polakow, Wielebnych Kapłanow, Prezydentow Towarzystw, Redaktorow pism Polskich i wszystkich ludzi dobrej woli Polskiego Narodu.

Wiadomo jest naszym Szanownym Współrodakom, ile nędzy i biedy dla braków materjalnych, a więcej nieznajomości języka i stosunków tutejszych., muszą cierpieć nasi współbracia przybywający do Ameryki. Ustanowienie opieki nad emigrantami naszej narodowości było koniecznem. Dla tego kapłani nasi nie szczędzili zachodów i wydatków w urządzanych zjazdach, aby podobną instytucję powołać do życia i założyć podwaliny do jej dalszego bytu. Złożyli więc początkowo swoje ofiary i krzątają się nadal o zapewnienie powodzenia. Komitet przeznaczony do inkorporacji wypełnił swoje zadanie. Inkorporacja podług prawa Stanu New York załatwiona, Towarzystwo pod opieką św. Jòzefata zostało powołane do życia, a chodzi obecnie o urządzenia domu, nabycie potrzebnych sprzętów, odpowiednią pościel i o niezbedne wydatki przy takim zakładzie.

Jako Komitet urządzający w imieniu Polonii naszej mamy zaszczyt odezwać się do Was Szanowni Współrodacy, abyście datkiem pieniężnym zachody nasze poparli. Spodziewamy się, że hasło:

„Czyń każdy co kto może
Co radzi duch Boży,
A całość sama się złoży",

zostanie przyjęte przez współziomków i każdy pospieszy z datkiem na podniesienie, utrzymanie i utrwalenie Domu Emigracyjnego, dla chwały naszego Narodu w Ameryce.

Z uszanowaniem

Ks. B. Gramlewicz,
prezydent.

Ks. B. Dembiński,
sekretarz.

O sławnym malarzu francuskim Meissonier opowiadają, że pewnego razu zachorował piesek-faworyt żony artysty. Pani Meissonier była w rozpaczy. Mąż kochający ją do szaleństwa, postanowił użyć wszelkich środków, aby ulubione zwierzę ocalić. Ponieważ pieskowi uformował się wrzód na karku, Meissonier pisze list do znakomitego chirurga Nelaton'a (który brał po 2.000 fr. za wizytę) i prosi go, iżby przybył dokonać operacji, naturalnie nie wymieniając kto jest pacjentem. Neleton przyjechał zrobił operacją i odjechał, nie chcąc słyszeć o honorarjum; znać przecież było, że się wielce obraził W rok potem Meissonier zostaje wezwany przez Nelatona, w pilnym jakoby interesie. Przyjeżdża natychmiast, lecz chirurg każe mu na siebie czekać przeszło godzinę.

— To pan, panie Meissonier — mówi nareszcie, zjawiając się — właśnie mam pana prosić o... pomalowanie drzwi mego gabinetu. Wszak mi pan nie odmówisz.

Malarz uśmiecenął się—zrozumiał, że to odwet za psa.

— I owszem — odparł — ale przyślij mi drzwi, doktorze, do pracowni.

Złośliwy lekarz nie omieszkał tego uczynić a w kilka tygodni odebrał drzwi pokryte prześlicznemi obrazkami. Wartość ich ceniono na 80,000 fr.

„Obywatel”

(The Citizen.)

ISSUED EVERY SATURDAY.

LOUIS NIEMO, (Ludwik Niemojowski) Pub.

2081 BATHGATE AVE., NEW YORK.

SUBSCRIPTION:

ONE YEAR $2.00 IN ADVANCE.

Single Copy 5 Cents.

Entered at the New York Post Office as second Class Mail Matter.

RATES OF ADVERTISEMET:

One inche for one year	$20.00
One inche for six months . . .	$10.00
One inche for three months . .	$ 6.00
One inche once	$ 1.00

One line once 10 cents.

(Nonpareil measurement, 12 lines to one inche).

Prenumeratę roczną, półroczną lub kwartalną należy nadsełać w liście registrowanym, przez „Money Order”, express lub w 2 centowych znaczkach pocztowych pod adresem:

Louis Niemo, Publisher

2081 Bathgate Ave., New York.

KRONICZKA Z NEW YORKU i OKOLICY.

‡ Za kilka tygodni zaczniemy drukować nowelkę pióra panny Ireny Nawrockiej a specjalnie ofiarowaną „Obywatelowi.”

‡ Bal Sokołów odbędzie się w Kwietniu. O ile mogliśmy się dowiedzieć, będzie to największa zabawa po-karnawałowa. Szczegóły później.

‡ Sokoli sprowadzili wiele przyrządów gimnastycznych i zamierzają rozszerzyć swą działalność agitacyjną.

‡ Dla braku miejsca nie mogliśmy wcześniej umieścić odezwę Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego którą dziś drukujemy.

‡ Nasz podróżujący agent pan K. Putrament wyjechał do stanów New Jersey, Connecticut i Pennsylvania, gdzie zwiedzi główniejsze kolonie polskie.

‡ Dziś w Sobotę 22 Lutego odbędzie się w Newarku, w Sali Pułaskiego Wielki Obchód Narodowy na pamiątkę 150 letniej rocznicy urodzin Kościuszki. Grono Polaków z New Yorku wybiera się na tę uroczystość.

‡ Kongresman Johnson z Kalifornii przedstawił w Washingtonie „bill” mający na celu ograniczenie emigracji a popierając swój projekt napadł w szkaradny sposób na polaków, nazywając ich kłótliwymi barbarzyńcami, niegodnymi dostąpić obywatelstwa amerykańskiego. Bill Johnsona, rozumie się, że nie przejdzie ale powinno to być przestrogą dla nas, aby zaniechać tych kłotni i zatargów, które od lat kilku peryodycznie powtarzają się w niektórych koloniach polskich.

‡ „Dziwnie się plecie, na tym Bożym świecie”... Przez długie lata pisma polskie nawoływały ogół, większe organizacje i księży do założenia domu emigracyjnego w New Yorku. Lecz obyły się sejmy Związku Narodowego, Zjednoczenia i Unji a odezwy te zostały „głosem wołającego na puszczy.” Obecnie gdy kilkunastu kapłanów zgodziło się dobrowolnie zaopiekować się przybywającymi do tutejszego portu rodakami i gdy na ten cel z własnej kieszeni nieszczędzili dość znacznych ofiar — znajdują się ludzie, którzy odważają się szykanować ich postępowania publicznie i w sposób niski i bezczelny wtykają swój nos i prawią im nauki i przestrogi. Zapytujemy: jakim prawem i kto śmie mieszać się w sprawy filantropijnego towarzystwa, które z własnych funduszów stara się ulżyć gorzkiej doli swych braci, których bieda i nędza wypędziła z ojczystego kraju za Atlantyk szukać szczęścia pomiędzy obcymi?

Istotnie na to pytanie nie ma innej odpowiedzi jak chyba ta tylko, że są wszędzie ludzie nikczemni i podli, którzy każde dzieło szlachetne i uczciwe starają się rozstroić w zawiązku. Takie egzemplarze zasługują na miano wyrzutków społeczeństwa.

„Gazetka P.” chciała sądu opinji publicznej i żądaniom jej stało się zadość. Zjednoczenie Parafialne najliczniejsze towarzystwo w New Yorku bo liczące przeszło 300 członków, na walnem zebraniu w Niedzielę 16go b. m. jednogłośnie postanowiło nie prenumerować „Gazetę” a jednocześnie obrało „Obywatela” za swój organ urzędowy. Pod koniec posiedzenia ob. Grzybowski przeczytał kilka ustępów z „polemiki” Gazetki i przemówił do zebranych twierdząc, że żaden porządny człowiek nie powinien popierać pisma walczącego w tak brudny sposób. Mowa jego była przyjęta hucznemi oklaskami.

¶ Nasi prenumeratorzy którzy sobie zaabonują „Obywatela” w Styczniu i Lutym b. r., otrzymają wszystkie początkowe numera naszego pisma.

‡ Jeneralnym agentem „Obywytela” na Nowy York jest p. K. Lityński, zam. p. n. 1465 Ave. A. N.Y. Jest on upoważniony do odbierania należytości za prenumeratę, jak również do kontraktowania robót drukarskich i ogłoszeń.

kę ciężką i nieustanną pracą odpłacać musiała. Nikt na nią nie zważał, wyjąwszy Janka syna utrzymujących szynk. Młody chłopiec upododawszy sobie sierotę, zapragnął się z nią ożenić, ale rodzice słyszeć nawet o tem małżeństwie nie chcieli, zapowiedziawszy stanowczo synowi, iż jeżeli tenże nie odstąpi od swego zamiaru, wypędzą niebogę z domu. Biedna Magdusia choć skromnie a nawet ubogo odziana, była przecież bardzo piękną, młodzieniec kochał ją szczerze, z obawy więc żeby wspomniana pogróżka nie została spełnioną, udał poddanie się srogiemu wyrokowi nie tracąc nadziei, że z czasem zdoła zmiękczyć serce ojca i matki.

Wspomniałem wyżej o zebranych w szynkownianej izbie ludziach. Chłopi popijali wódkę gwarząc o swych gospodarskich zajęciach, obcy zaś człowiek kazał sobie podać jedzenie i siadł opodal, oczekując za miską przyrządzającej się dla niego strawy. Był on ubrany w nowy kożuch opasany szerokim skórzanym pasem, włosy miał czarne, gęste, kędzieżawe i wzrok przenikliwy, bystry, a cała postawa jego okazywała stanowczość i energję charakteru.

— Aspan zdaleka? — zapytał karczmarz podając mu żądany posiłek.

Zapytanie powyższe zadanem było więcej ze zwyczaju niż ciekawości, gdyż traktem do Kalisza przechodziło każdego niemal dnia wielu z dalszych stron, a zatem nieznanych zapełnie w okolicy podróżnych.

— Ja? — rzekł namyślając się nowo przybyły, — ja idę z ostrzeszowskich stron; jestem z Bralina i handluję wieprzami.

— Dobry to handel — dodał karczmarz: — ludzie mówią, że na tem interesie zarabia się nie mało pieniędzy.

— O zarabia się ich sporo, ja też na handel nie narzekam; wieprzków nigdy nie braknie a... i rzeźników także.

Wymawiając ostatnie słowa roześmiał się szydersko.

— I nie obawiacie się — rzekł jeden z włościan — chodzić tak po lasach z pieniądzmi w kalecie?

— Czegóżbym się miał bać?

— A jużcić Materskiego. On nie żartuje, jak kogo schwyta to i skończony z nim porachunek.

— Bywało to może kiedyś ale nie dziś. Materski dawno już wyniósł się z tutejszych lasów.

— Gadacie tak boście nie tutejsi. Nie ma prawie dnia w którymby ten rozbójnik nie wyprawił kogo na tamten świat; a jak poczuje w trzosie pieniądze, to wynajdzie człowieka chociażby tenże skrył się pod ziemię.

Nieznajomy spojrzał na nich z pogardą.

— Jesteście tchórze zajęczą skórą podszyci, nie ma z wami co gadać.

— Co? my tchórze! — zawołali chłopi, a kilku z nich porwawszy się ze swoich miejsc, postąpiło groźnie ku nieznajomemu.

— Hola! nie tak ostro moje dziatki — rzecze z zimną krwią przybysz, kładąc przed sobą grubą w żelazo okutą pałkę; — słowa nic nie znaczą, dajcie dowód żeście nie zmokłe kury, a wtedy uwierzę wam. Oto pieniądze — dodał wyjmując z kieszeni dwa nowiuteńkie pruskie talary, i kładąc takowe przed sobą na stole. Kto z was pójdzie teraz, w tej chwili do Klonowskiej Górki, wyrąbie na korze dębu, który tam rośnie znak toporem, i przyniesie z tego drzewa urwaną gałąź, zostanie ich właścicielem. Gospodarz świadkiem umowy.

Włościanie spojrzeli na siebie, pokiwali głowami, żaden jednak nie miał chęci przedsięwziąć podobnej wycieczki.

— A widzicie — mówił dalej podróżny — żem prawdę powiedział. Miałem przekonanie, że tak będzie, chciałem tylko przekonać was, że te wszystkie gawędy o rozbójnikach, w waszych się głowach jedynie wylęgły; ze strachu wymyślacie podobne historje. No kto się nie boji niech je bierze i rusza do lasu.

Kiedy tych słów domawiał, Magdusia służąca przystąpiwszy do stołu rzekła:

— Dajcie je, pójdę na Klonowską Górkę.

— Ty dziewczyno?

— Ja! i cóż dziwnego — jestem biedną i chcę sobie zarobić na przyodziewek.

— Dobrze! sprobuj jeżeli masz ochotę, ale przepowiadam, że wrócisz tu za chwilę nie doszedlszy do wskazanego miejsca. Oto talarki masz je, ja będę czekał za tobą; spodziewam się odebrać napowrót pieniądze.

Obecni sądzili zrazu że to wszystko powiedziane było żartem, ale gdy dziewczyna, owinąwszy na prędce głowę i ująwszy stojącą w kącie izby siekierę, przestąpiła próg domu, przekonali się, iż uskutecznienie powziętego zamiaru żadnej nie ulegało wątpliwości.

— Trzeba ją zatrzymać! — zawołał jeden z chłopów.

— Zawrócić — dodał drugi.

— Na co? po co? — przerwal nieznajomy, — ona sama to uczyni. Miałażby być odważniejszą od was?

Karczmarz i jego żona byli tego samego zdania, patrzano więc tylko rychło się drzwi otworzą, ażeby przywitać śmiechem zarozumiałą o swojem męztwie służącą.

Ale drzwi stały zamknięte.

Nikt nie powracał.

Gdy się to działo w karczmie, Magdusia tymczasem szła dosyć śmiałym krokiem zmierzając ku wskazanemu miejscu; drogę znała dobrze, była więc pewną, iż nie zabłądzi.

Noc była cicha, spokojna, księżyc jasno świecił osrebrzając posępnym swym blaskiem konary drzew i rzucając długie smugi cieni w licznych parowach, czasami spłoszony zając przemknął się pomiędzy krzakami, czasami znów przerażający głos puchacza przerwał głuche milczenie panujące do koła.

Ona szła ciągle z mocnem postanowieniem spełnienia umowy. Dwa talary, szczególniej w owych czasach stanowiły dla biednej dziewczyny sporą summę, o posiadaniu której dotąd marzyć nawet nie śmiała; a przytem myśl o możności nabycia nowej sukienki, i przedstawienia się ponętniej w oczach Jana, łechtała miłość własną niebogiej. Była przedewszystkiem kobietą, a któraż z kobiet nie ma podobnych zachceń? Przebywszy

znanemi sobie ścieżkami gęstwę boru, wyszła w pół godziny potem na przestrzeń zarosłą krzakami jałowcu, wśród której widniała dość znaczna wyniosłość ziemi: była to miejscowość, do której dążyła. Stary stuletni dąb, stojący w samym środku piaszczystej wydmy, rozpościerał szerokie swoje konary — do koła głuche panowało milczenie.

Dziewczę obejrzawszy się na wszystkie strony, postępowało ostrożnie ku drzewu, gdy nagle dziwny jakiś szelest zwrócił jej uwagę. Zatrzymawszy się chcąc poznać z jakiej pochodził przyczyny, ujrzała przywiązanego do drzewa okulbaczonego i objuczonego tłumokami konia

Nikogo z ludzi tam nie było

Nie mając czasu zdać sobie sprawy z tego zdarzenia, podniosła siekierę do góry i kilkoma uderzeniami wyrąbała na korze drzewa umówiony znak, poczem, urwawszy najbliższą gałęź, zwróciła się w stronę karczmy.

W tej chwili usłyszała przeciągłe gwizdnięcie wśród lasu.

— Stój — krzyknął głos jakiś opodal.

Jednocześnie dwie lub trzy postacie ludzkie, wysunąwszy się z gęstwiny, pobiegło ku niej.

Odległość oddzielająca gołoborz od zarośli wynosiła kilkaset kroków; zaczem więc wspomniani ludzie zdołali przeszkodzić jej zamiarowi, odwiązała uzdę wierzchowca, wskoczyła szybko na siodło, i uderzywszy zwierzę trzymaną w ręku gałęzią pobudziła je do biegu.

— Stój! stój! — zahuczało kilka naraz głosów.

I zaraz potem padły dwa strzały.

Wystraszony świstem kul rumak puścił się galopem.

Dziewczyna nie tracąc ani na chwilę przytomności umysłu, trafiła na ścieszkę wijącą się wśród gęstwiny, i za kilka minut stanęła przed drzwiami karczmy.

Przywitano powracającą okrzykami najżywszej radości.

Gospodarz, jego żona, zgromadzeni włościanie zarzucili ją wszelkiego rodzaju zapytaniami, podziwiając niezwykłą odwagę i niezachwianą przytomność, jakich tak dotykalne dała dowody.

Janek zdumiony bohaterskim czynem sieroty, stał w niemem zachwyceniu, nie umiejąc znaleść odpowiednich wyrazów na objawienie swego zapału.

Wszyscy tam byli zgromadzeni oprócz nieznajomego. Wśród powszechnego zamięszania spowodowanego powrotem Magdusi, znikł niepostrzeżony

Zaprowadziwszy konia do stajni zajęto się natychmiast rozpakowaniem tłumoków.

Znajdowała się w nich oprócz różnych ubiorów i bielizny, spora, bo kilkanaście tysięcy złotych wynosząca summa, samemi dukatami.

Uradowana karczmarka chwyciła się za głowę.

— Teraz to dopiero będziemy bogaci — zawołała.

— Te pieniądze do nas nie należą — rzekł jej mąż. — Jutro przypada dzień targowy w Błaszkach; przybywszy do miasteczka zameldujemy władzy o wszystkiem co zaszło, bo takie jest prawo, sądzę jednak, iż w każdym razie dadzą nam z tego trzecią część jako znaleźne.

— Niech i tak będzie kiedy inaczej nie można — zakończyła z mniejszą radością karczmarka. — Tobie zaś dziewczyno kupię jutro nową suknię i korale na szyję — dodała, zasłużyłaś na ten podarunek.

Biedactwo bylo tak mało wymagającem, że i ta nader skromna w porównaniu z doniosłością wykonanego przez nią czynu obietnica, napełniła jej serce radością.

Stać się odrazu właścicielką dwóch talarów i otrzymać w dodatku nowe przybory do przyodziewku, było w przekonaniu dziewczęcia szczytem wszelkiej pomyślności.

Nazajutrz równo ze wschodem słońca, gospodarz zaprzęgał do niewielkiego wózka parę szkapin, a jego żona wydawała ostatnie polecenia służącej.

— Jedziemy na targ do Błaszek — mówiła — Janka wysłaliśmy po wódkę do Hajewa, pilnuj więc karczmy jak się należy, uporządkuj izbę i alkierz i przyrządź jedzenie, gdyż przed wieczorem jeszcze będziemy wszyscy z powrotem.

Wkrótce potem wózek znikł wśród lasu na zakręcie drogi, a Magdusia zamknąwszy wrota wzięła się do swojej roboty.

Jednocześnie nie dalej jak o kilkadziesiąt kroków ztamtąd, stał ukryty pomiędzy drzewami człowiek wysokiego wzrostu, herkulesowej budowy ciała, śledząc pilnie chwilę odjazdu karczmarza i jego żony.

Zaledwie ucichł tętent kół w oddaleniu, nieznajomy ów wyszedłszy z gęstwiny i przystąpiwszy do drzwi budynku, zakołatał silnie.

Ona pobiegła mu otworzyć i ze zdziwieniem połączonem z pewnem odcieniem bojaźni, poznała w nim wczorajszego gościa.

— To więc ty jesteś — zawołał wszedłszy do izby — któ a pozwalasz sobie żartować z Materskiego i jego przyjaciół: ej dziewczyno, nigdybym się niespodziewał znaleść w tobie tyle śmiałości!

Sposób w jakim wymówionemi zostały powyższe wyrazy, przeraził ją.

— Czego chcecie odemnie? — zapytała drżącym głosem.

— Czego ja chcę od ciebie? Jestem Materski, a koń i wszystko znajdujące się na nim do mnie należy.

— O Boże! Boże! — krzyknęła ze strachem — cóżem temu winna: ja nic nie chciałam, nie wiedziałam o niczem. Weźcie wszystko konia dukaty, tylko darujcie mi życie, nie zabijajcie biednej!

— Cicho bądź, nie krzycz i nie płacz, nikt cię nie myśli zabijać: zanadto jesteś młodą i ładną, ażebym pragnął wyprawić ciebie na tamten świat. Owszem przeciwnie, podobała mi się twoja odwaga; dzielna z ciebie jak widzę dziewczyna! a ja takie lubię. Zawsze pragnąłem połączyć swe losy z towarzyszką, którаby nie miała zajęczego serca, podzielała ze mną wszystkie niebezpieczeństwa mego życia. Zrozumiałaś? a więc dosyć gadania: zabieraj swe manatki i ruszaj ze mną do lasu.

— O nigdy! nigdy! wolałabym umrzeć!

— Porzuć fochy i wzdrygania i weź tę rzecz na rozsądek. Umiera się raz tylko, a żyć można długo. Zresztą będzie ci u mnie dobrze, dostaniesz wszystkiego podostatkiem i nowych sukien i jedzenia, a wszystko przyjdzie ci bez trudów, mozołów i pracy.

Mówiąc te słowa podsunął się pragnąc pochwycić ją w swoje żylaste ramiona.

Ona cofnąwszy się szybko wgłąb izby, stanęła za stołem.

— Jeżeli macie cokolwiek litości nad biedną sierotą, pozostawcie mnie w spokoju: ja was nie chcę, ja z wami nie pójdę.

— Z tego tonu mi śpiewasz ptaszku? no, no zobaczymy kto na swojem postawi? — zawołał rozbójnik wyciągając z zanadrza długi nóż. — Wybieraj co wolisz, umrzeć albo pójść ze mną.

I z uzbrojoną dłonią przystąpił ku nieszczęśliwej.

Niebożątko pobladło straszliwie nie mając siły odpowiedzieć.

— Zresztą — dodał, rzucając nóż na stół — dosyć tych żartów, czy chcesz czy nie chcesz, jesteś moją i kwita. Oczekuję tu dwóch dzielnych moich towarzyszy, nim nadejdą przynieś wódki i kiełbas, bułek i kieliszków, gdyż pragnę co zakąsić; ty zaś tymczasem namyślisz się i zrozumiesz, że daleko lepiej jest żyć hucznie, wesoło z nami, aniżeli usługiwać pijanym chłopom w karczmie.

Magdusia w nadziei, iż tym sposobem odwróci na chwilę uwagę swego prześladowcy, poszła spełnić jego żądanie, a ponieważ niektóre z zapasów znajdowały się w piwnicy, otworzyła klapę prowadzącą do sklepu i poczęła zstępować po schodkach prowadzących w jego wnętrze; zaledwie jednak znalazła się na dole, posłyszała kroki idącego za nią rozbójnika.

Rabuś nie odstąpił, jak się pokazywało, od swoich niecnych zamiarów, i pragnął widocznie, korzystając z wąskiego przesmyku stać się jej panem.

Grożące niebezpieczeństwo natchnęło nieszczęśliwą zbawiennym postanowieniem.

Zaledwie poczuła go blisko siebie zgasiła nagle świecę, przebiegła schylona pod wyciągniętą naprzód ręką zbójcy, a dostawszy się na górę, nim prześladowca jej zdołał sobie zdać

sprawę z tego co zaszło, zamknęła klapę otworu na klucz, nagromadziwszy na niej dla większej pewności ciężkie ławy i stoły szynkowni.

Uczyniwszy to, padła na kolana przed obrazem Bogarodzicy, dziękując tej opiekunce sierot i opuszczonych, za cudowne wybawienie.

Niestety! to był początek ciężkich prób, przez które przechodzić miała!

Jeszcze nie ochłonęła z pierwszego wrażenia, przysłuchując się krzykom i przekleństwom, jakich zamknięty w piwnicy nikczemnik nie szczędził, gdy znowu zastukano do wrot karczmy.

Domyślając się co to byli za goście zamiast otworzyć pobiegła do okna.

W progu stało dwóch żebraków.

— Litościwa osobo! — rzekł jeden z nich płaczliwym głosem, ujrzawszy dziewczę w oknie: — wpuść biednych ludzi do izby. Jesteśmy znurzeni długą drogą, do wsi daleko, chcielibyśmy cokolwiek odpocząć.

— A może znajdzie się — dodał drugi — choć kawałek chleba dla nędzarzy: głód nam dokucza, nie mieliśmy od wczoraj nic w ustach.

— Idźcie sobie z Bogiem, nie ma tu nic dla was.

— Czy to się godzi mówić tym sposobem do nieszczęśliwych, którzy wzywają litości? jesteś młodą a przecież tak nieuczynną. Wstydź się! — zawołał pierwszy dosyć cierpkim głosem, gdyż trwoga malująca się w rysach twarzy dziewczęcia, wzbudziła w nim niejakie podejrzenie.

— Jaką jestem to już moja rzecz, ale drzwi wam nie otworzę.

— O ho! ho! — pomruknie drugi żebrak—dziwny zaprawdę upór. Powiedz, tyś pewno widziała człowieka wysokiego wzrostu, ubranego w nowy kożuch, jak tenże przechodził koło karczmy

— Nie widziałam nikogo, nikt tu nie był: dajcie mi pokój i ruszajcie w swoją drogę.

ROZDZIAŁ X.

Tadeusz opuszcza Warszawe

Od dnia, w którym dzielny i do to tego czasu wolny naród, utracił swą niezawisłość, Tadeusz trawiony gorączką nerwową pozostawał w twierdzy przy garnizonie. W przypuszczeniu, że chwila ta potrwać może kilka tygodni, a nadto przeświadczony, że czasu do stracenia nie ma, generał Burski postanowił wyjechać do tej części Polski, która jeszcze jako tako się trzymała. Uzyskawszy potrzebne przyzwolenie opuścił Warszawę i połączył się z księciem Poniatowskim, który stał w Zachoryniu i zawsze jeszcze rozporządzał kilkoma pułkami wyćwiczonego wojska. Przy księciu znalazł nieustraszonego Niemcewicza, poetę i bohatera zarazem, szkolnego kolegę Kościuszki.

Lecz i Tadeusz prędzej wrócił do zdrowia, aniżeli się spodziewano. Pozostały jedynie te rany, które sam czas leczyć umie. Po za tem czuł się tak pokrzepionym, że pewnego poranku wyszedł na wały, aby odetchnąć świeżem powietrzem. Zjawienie się jego wywołało liczne i szczere gratulacje ze strony oficerów. Tadeusz starał się być wesołym, lecz słaby i przymusowy uśmiech, który ukazał się na jego twarzy znikł niebawem, gdy na troskliwe dopytywania swoje o dalsze losy kraju usłyszał następującą relację:

„Praga została zniszczoną i zrównaną z ziemią. Przeszło trzy tysiące osób zginęło od miecza, ognia i wody. Warsza-

wianie przestraszeni temi scenami, które odbyły się na przedmieściu, wysłali delegację do króla. Na kolanach błagali go, aby przez litość dla żon i dzieci mieszkańców stolicy poddał się najeźdzcom, zanim ci postąpią z niemi tak okrutnie, jak to uczynili z ludnością na Pradze. Stanisław August widział, że dalsza opozycja byłaby daremną. Mury stolicy były już otoczone artylerją, gotową do obrócenia miasta w perzynę. Losy Polski były rozstrzygnięte. Upadek jej nieunikniony. Z głębokim więc smutkiem król zgodził się na petycję obywateli i wysłał posłów do obozu nieprzyjacielskiego".

„Posłowie otrzymali odpowiedź, że Suwarow żąda, aby każdy mieszaniec Warszawy nie tylko złożył broń, lecz nadto prosił o przebaczenie za krnąbność dotychczas okazaną.

— Warunki te zostały przyjęte — dodał oficer opowiadający Tadeuszowi te smutne nowiny.

— Ja przyjąć ich nie mogę — rzekł Tadeusz i odwracając się od oficera udał się ku pałacowi królewskiemu, sam dobrze nie wiedząc po co.

Usłyszawszy, że młody Hrabia Sobieski czeka jego rozkazów, król opuścił swój gabinet i udał się do sali audencyjnej. Tadeusz chciał przyklęknąć, ale król zapobiegł temu, obejmując go czule, przyczem rzekł:

— Dzielny młodzieńcze! W tobie do serca mego przyciskam ostatniego z tych młodych Polaków, którzy zdobili moje królestwo!

Łzy stanęły w oczach Monarchy. Tadeusz był mocno wzruszony i ledwie wybąknąć zdołał:

— Przyszedłem po rozkazy Waszej Królewskiej Mości! Zastosuję się do nich pod każdym względem; nie mogę jednak złożyć w ręce wrogów tej szpady, która mi pozostawiona została przez dziadka mego!

— Tego po tobie nie wymagam — odpowiedział Stanisław August. — Jeśli w ogóle przyjmuję warunki Rossjan, to czynię to jedynie ulegając usilnym prośbom mego ludu. Nie żądam abyś skompromitował swą sławę. Lecz byłoby

niedorzecznością z twej strony poświęcać młodość swą dla sprawy straconej. Polska skazaną została przez losy do poddania się i Bóg w tajemnych swych wyrokach potwierdził tę karę; naszym obowiązkiem jest więc przyjąć ją bez szemrania. Co do mnie to postanowiłem zagrzebać się wraz z mym smutkiem w zamku Grodzieńskim.

Krew uderzyła Tadeuszowi do twarzy w obec tego oświadczenia. Jego dumna dusza nie mogła się zdobyć na taką rezygnację i wzburzonym głosem wykrzyknął:

— Jeśli mój władca jest na rozkazy naszych najeźdców, to istotnie już Polski niema! Mnie też nie pozostaje nic innego, jak opuścić ten kraj. Pozwól mi Najjaśniejszy Panie spełnić ostatnią wolę mej matki i wyjechać do Anglji, abym nie był świadkiem tej katastrofy, której ulega nasza Ojczyzna.

— Życzyłbym sobie z całego serca — odpowiedział król, żebym mógł odpocząć w tem szczęśliwem królestwie. Lecz wiek mój i sytuacja nie pozwalają na to. Ty mój Sobieski, idź tam, gdzie cię wola prowadzi. Modły i błogosławieństwa moje towarzyszyć ci będą.

Tadeusz wzruszony przycisnął rękę królewską do swych ust.

— Wierzaj mi kochany hrabio — dodał król — że serce mi się krwawi przy tem rozstaniu. Wiem jakim skarbem rodzina twoja była dla naszego Narodu i znam twe osobiste zasługi. Czuję się bardzo nieszczęśliwym, że wdzięczności swej nie jestem w stanie należycie wyrazić.

— Gdybym coś więcej uczynił niż nakazywał obowiązek — odpowiedział Tadeusz, — takie słowa od Waszej Królewskiej Mości byłyby dostateczną nagrodą za me trudy! Lecz sądzę żem raczej nie spełnił należycie ciężącego na mnie obowiązku. Ostatnią kroplę krwi mojej, krwi Sobieskich powinienem był oddać, gdy Ojczyzna ginęła. — Tadeusz rozpłomienił się wymawiając te słowa, jakby żałował, że zbyt gorliwi przyjaciele ocalili go pod Wilanowem.

Stanisław August domówił słabym głosem:

— Być może, że kraj nasz nie uległby tym strasznym nieszczęściom, gdyby na tronie zasiadał jeden ze Sobieskich. Lecz starałem się spełnić swoje obowiązki, jak umiałem najlepiej. Katarzyna przekona się, że nie byłem i nie jestem jej wice-królem, za jakiego mnie wzięła, gdy popierała mnie przy wyborach.

— Tak jest Najjaśniejszy Panie — zawołał Tadeusz, — i każdy człowiek, który urodził się na ziemi Polskiej zaświadczy że dbałeś o kraj poruczony Twej opiece, jak ojciec. O Panie! Czy przyszłe wieki uwierzą, że w pośród cywilizowanej Europy dzielny Naròd i cnotliwy Monarcha mogli tak cierpieć; że nie dano im żadnej pomocy, że obojętnie przypatrywano się, jak wpadli w szpony najeźdzów, że pozwolono im ginąć bez protestu.

Król położył rękę na ramieniu Tadeusza i rzekł:

— Nieszlachetność ludzka oburza jedynie wiek młody. Ty mój hrabio odbierasz lekcję dość wcześnie. Ja uczę się jej od dawna. Dusza moja nieraz doznawała tej goryczy, jaką ty obecnie jesteś przepełniony. Królestwo moje upada w tejże chwili, gdy Polska politycznie istnieć przestaje. To jedno wystarczy na moje usprawiedliwienie. Zanim się rozstaniemy na zawsze, mój drogi hrabio, przyjmij odemnie zapewnienie żeś do ostatniej godziny służył wiernie swemu nieszczęśliwemu królowi. Słowa wypowiedziane przez ciebie przed chwilą, wyrażały niezawodnie sentymenta tych co dotąd byli moimi poddanymi. W tym duchu pojęte stanowią one istotnie dla mego serca balsam, który będzie dla mnie jedyną pociechą we więzieniu mojem.

Król mówić przestał.

Tadeusz wzruszony i niezdolny do wyrażenia swych uczuć przykląkł przed królem i z bolesną żarliwością przyciskał rękę jego do swych ust.

Stanisław August spojrzał na piękną postać Tadeusza i przeniknięty do głębi duszy okazanem przez niego przywiązaniem, pochylił się ku niemu, by go podnieść. Łza zaświe-

ciła w oku królewskiem i potoczyła się po jego licu, zanim był w stanie wyrzec:

— Wstań mój młody przyjacielu. Przyjmij odemnie ten oto pierścień, zawierający podobiznę moją. Niechaj ci to służy za pamiątkę od tego, który cię kocha jak syna, i który nigdy nie zapomni twej lojalności i patryotyzmu twej rodziny.

W tejże chwili zaanonsowano Wielkiego Kanclerza koronnego hrabiego Zamojskiego. Tadeusz wstał i zabierał się do opuszczenia sali, gdy król dostrzegłszy to, zawołał:

— Zostań, hrabio! Pragnę cię obarczyć jeszcze jedną prośbą. Wiadomo ci, że jestem obecnie królem bez korony, bez poddanych, bez piędzi ziemi, na której mogłyby być złożone moje zwłoki, gdy umrę. Nie jestem tedy wstanie wynagrodzić żadnego, z tych kilku najwierniejszych przyjaciół, którzy stali przy mnie do ostatniej chwili. Jedynym z nich jest stary generał Burski. Słyszałem, że po zburzeniu Pragi przyłączył się do mego brata. Lecz i te resztki naszego wojska są obecnie rozwiązanie i Burski wyjechał za granicę, by się na starość tułać po bezlitosnym, obcym świecie. Lecz ty jesteś młody i być może, że ci niebo sprzyjać będzie gdzie w jakiej dalekiej krainie. Otóż jeślibyś napotkał gdzie starego, dobrego, dzielnego Generała Burskiego, to pomnij, że on uratował mnie w chwili, gdy wszystko zdawała się być stracone dla mnie, że go tedy uważam za zbawcę mego życia. Staraj się uiścić z długu wdzięczności, jaki zaciągnął twój biedny władca. Bądź pomocny Burskiemu ze względu na mnie.

— Niechaj Bóg mi tak dopomoże jak ja uczynię wszystko co będzie w mej mocy — zawołał Tadeusz, — poczem powtórnie przycisnąwszy rękę króla do ust swych, ukłonił się kanclerzowi i wyszedł.

Gdy wrócił do Cytadeli, przekonał się, że sprawy stoją istotnie tak, jak je król przedstawiał. Żołnierze będący w garnizonie przygotowywali się acz niechętnie do złożenia

broni; a szlachta podniecona biedaniem ludu również zaczynała poddawać swój kark pod jarzmo dyktatora rossyjskiego. Urzędnicy koronni z bolem serca, krokiem powolnym, jakby wahającym, szli do króla po klucze, które nakazano im złożyć w ręce przedstawiciela najeźdźców. Szeptem opowiadali sobie wzajemnie smutne nowiny bieżące i przewidywali tę okropną chwilę, kiedy wraz z kluczami wypadnie złożyć trzem mocarstwom najezdniczym całą niezależność narodową; wyrzec się wszelkich praw do bytu politycznego.

Polska nie była już teraz stosownem miejscem dla potomka wielkiego króla Jana. Tadeusz przeżył wszystkich krewnych swoich; wolność swej Ojczyzny; król jego był więźniem; rodacy pod rządami uzurpatorów. Nic mu już więc nie pozostało w tym kraju.

Gdy tak rozmyślając szedł ku miastu, Tadeusz nie doznawał prawie żadnej przeszkody w swych dumaniach. Ulice Waszawy były puste. Tu i owdzie napotykał jakiego biedaka, którego wybladła twarz i obłąkane oczy, zdawały się być niemym protestem przeciw układom z najezdzcami. Sklepy były pozamykane. Duży ogród, który służył za miejsce schadzki towarzyskiej dla wesołych Warszawian, był teraz zupełnie osamotniony. Wszędzie panowała cisza, straszna i ściskająca serce. Idąc dalej po brzegu Wisły Tadeusz doszedł do Wilanowa. Tu zwrócił się ku miejscu, gdzie niedawno temu stał wspaniały pałac jego przodków. Przypatrując się z boleścią tym ruinom, zawołał:

— Tak, teraz nadszedł czas, w którym wypada mi spełnić ostatni rozkaz mej matki! Nic nie pozostało z Polski prócz ziemi; nic z naszego domu prócz popiołów!

Zwyciezcy panowali wśród tych ruin, przetrząsając gruzy w nadziei znalezienia jakiego łupu.

— Nienasyceni rozbójnicy! — wykrzyknął Tadeusz. — Bóg odpłaci wam za to świętokradztwo. Przyszło mu na myśl, że pod temi gruzami leży jego matka i usunął się od tej strasznej sceny, mówiąc do siebie:

— Żegnaj, żegnaj mi Wilanowie, ty kolebko mojej młodości, gdziem wychowany był w szczęściu i z miłością. Rozstaje się z tobą i z Ojczyzną mą na zawsze.

Wymawiając te słowa podniósł oczy i rece ku Niebu, przycisnął do ust miniaturę daną mu przez matkę i zwrócił się ku miastu ze silnem postanowieniem opuszczenia kraju następnego poranku.

Przed wschodem słońca wstał i zabrawszy całe mienie swoje do małej walizki, objuczył nią swego dzielnego rumaka opuścił Warszawę akurat na dwie godziny przed tryumfalnem wejściem generała Suwcrowa do tego miasta. W przejeździe zraszał kamienie uliczne swemi łzami. Były to pierwsze łzy, które puściły się z oczu jego od czasu tych strasznych nieszczęść, jakie go dotknęły.

Przy wielkiej bramie koń jego zatrzymał się i uderzył kopytami w osobliwy sposób.

— Biedny Saladynie! — wykrzyknął Tadeusz, głaszcząc go po karku; — czyż i tobie żal opuścić Warszawę, że zarówno jak twój nieszczęsny Pan pragniesz spojrzeć na nią z rozpaczą, po raz ostatni!

Strumień łez wezbrał na nowo w jego oczach i wylał się z większą jeszcze siłą po licu. Strażnik, który za nim bramę zamykał chciał ucałować rękę tak sławnego patrjoty, opuszczającego kraj na zawsze; ale Tadeusz nie pozwolił na to, tylko ścisnął po przyjacielsku prawicę uczciwego rodaka i puścił się dalej opieszałym krokiem ku granicy prusskiej.

Przybywszy do rzeki dzielącej Mazowsze od posiadłości prusskich zeskoczył z konia i przystanął na chwilę. Z pagórka, który się podnosi blisko mostu, przebiegł oczami długą i opustoszoną drogę, którą przebiegł; poczem rzucił się mimowoli na kolana, uszczknął trawkę rosnącą w tem miejscu i przyciskając ją do swych piersi zawołał:

— Żegnaj mi Polsko! Skończyło się całe moje szczęście na tej ziemi!

Prawie zdrętwiały ze wzruszenia, umieścił trawkę na swym łonie, jako drobną, ale świętą relikwię po swej Ojczyźnie i wsiadłszy na swego rumaka przejechał most, który go od niej na zawsze miał oddzielić.

Jakby chciał uciec od tych zmartwień, które go dręczyły, puścił się odtąd szybszym biegiem i w bardzo krótkim czasie dostał się do Gdańska.

Tu pozostał kilka dni i odzyskał w pewnej mierze spokój duchowy. W przekonaniu, że cierpienia jego doszły do punktu kulminacyjnego, przyjął je z większą rezygnacją. Czuł, że Niebo chciało doświadczyć w ten sposób jego wiarę i cnotę, więc przestał oddawać się rozpaczy; nikt jednak już odtąd nie widział uśmiechu na jego twarzy.

Umówiwszy się z właścicielem okrętu co do podróży przez morze, zaczął obliczać swe finanse. Były one tak szczupłe, że ledwie na ten wojaż wystarczyć mogły. Wobec tego byłoby niepodobieństwem zabrać do Anglji konia, do którego tak był przywiązany!

Gdy doszedł do tego wniosku, rezygnacja jego prawie została zachwianą. Tylko siłą woli wstrzymywał łzy, które na nowo cisnęły się do jego oczu.

— Mamże rozstać się z mym wiernym Saladynem!? — mówił do siebie — z tym szlachetnym rumakiem, który nosił mnie od czasów mojej najpierwszej młodości, który towarzył mi w tylu niebezpieczeństwach a nawet poszedł ze mną na tułactwo!? Byłoby to boleśnie i niewdzięcznie.

Myśli te zajmowały go podczas pobytu w stajni, gdzie pieścił się z swym ulubieńcem na pożegnanie. Za chwilę zwrócił się do konia i rzekł:

— Lecz mój biedny przyjacielu nie myślę pozbyć się ciebie dla złota, poszukam dla ciebie pana, który będzie łaskawym dla ciebie przez litość dla mojego własnego nieszczęścia.

Wszedłszy napowrót do hotelu, w którym zamieszkiwał zawołał kelnera i wypytał go się, kto mieszka w jednym

BRZOZY PŁACZĄCE.

Nad jeziorem, przy wzgorzu, stoją brzozy białe;
Ich długie, wiotkie gałęzie splątane, zbolałe
Zwieszają się ku ziemi, jak włos pokutnicy,
A listki jęczą żałośnie, jak pacierz w kaplicy,

Spokojnie tu i cicho... cicho jak w mogile
Nad wodą jeno skrzydłami trzepocą motyle,
Niezabudek bukiety — nikt ich tu nie depce —
Więc kwiatek z kwiatkiem w ciszy sobie szepce.

Czasem fala przypłynie — uderzy — odpłynie,
Czasem ptaszę zaspiewa — umilknie — i zginie,
Czasem wiatr skądś zdaleka liśćmi zaszeleści
I brzozom ważną jakąś nowinę obwieści...

Nowina widać smutna, bo brzozy nad wodą
Jeszcze smutniej zajęczą, boleśniej zawiodą,
Kwiaty łzami się zleją i płaczą do rana,
A potem znowu cisza... cisza nieprzerwana...

Tu, wśród tej ciszy, w cieniu brzóz srebrzystych
Chciałem być pogrzebionym; w łonie pól ojczystych
Pragnąłem zasnąć na wieki, zdaleka od świata,
Bez pieśni, jęku organów, mniszego ornata...

Noc by mi była całunem, gwiazdy — gromnicami
Miast dzwonów wiatr by huczał, rozbrzmiewał jęka (mi;
Kadzielnicami-kwiaty, krzyżem pień brzozowy,
A rajem byłaby cisza... ten spokój grobowy...

Brzozy, wyście szczęśliwe, bo ziemi co ssiecie
Nie porzucicie nigdy, w niej pozostaniecie!
A ja czy kiedy wrócę do rodzinnej ziemi,
Czy brzozy moje ujrzę, czy spocznę pod niemi?...

Czy też, obcy wśród obcych, w dalekiej gdzieś stronie
Złożę wiecznem wygnaniem umęczone skronie?
Brzozy moje rodzinne, czy ja was zobaczę,
Czy szelest wasz usłyszę, pod wami zapłaczę?...

Lucjan

Gmina Polska w New Yorku i Okolicy.

Komitet organizacyjny:
Posiedzenia we Środę każdego tygodnia o g. 8 wieczór.
W LOKALU GMINY
77 E. 4th Street.

Z Ojczyzny.

¶ Okropne nieszczęście wydarzyło się w tym miesiącu w pobliżu Wilna na Litwie. W miejscowości Rybaki odbywało sie wesele, a goście, chcąc sobie skrócić drogę postanowili wrócić z kościoła do domu po lodzie. Na samym środku rzeki lud się załamał w skutek czego utonęli wszyscy, przeszło 20 osób... W tej liczbie byli pan młody i panna młoda.... Ani jedna osoba uratowaną nie została.

¶ Katolickie Towarzystwo ludowe w Gródkach w Prusach Zachodnich narażone było w roku ubiegłym na proces; oskarżone je za pieśni „Boże coś Polskę", „Jeszcze Polska nie zginęła" i „Włoska kraina", lecz towarzystwo szczęśliwie takowy wygrało, tylko prezes dostał napomnienie, aby na przyszły raz na posiedzeniach śpiewano „Deutschland ueber Alles" a nie polsku, bo Polski już nie ma, lecz prezes odpowiedział, że polskie pieśni są dla Polaków, a niemieckie Niemcom.

¶ „Kurjer Warszawski" donosi: przy ul. Elektorskiej l. 11 w Warszawie, Katarzyna Estmarowa, służąca, zamężna, powiła od razu czworo dzieci, wszystkie dziewczęta. Jedna z nowonarodzonych niebawem zmarła, trzy lubo wątłe, pozostają przy życiu. Stan zdrowia matki jak dotychczas, dość pomyślny.

¶ Setna rocznica urodzin Stanisława Jachowicza przypada w kwietniu rb. Krakowskie stowarzyszenie nauczycieli postanowiło obchodzić dzień ten uroczystym obchodem, którego urządzeniem zajęła się osobna komisja. Był on znakomitym filantropem, przyjacielem dzieci i bajko-pisarzem.

¶ W Trzcianie, na zabawie zmarła nagle jedna z pań, która za mocno była ściśniętą gorsetem.

¶ Hrabia Pusławski, właściciel olbrzymich dóbr w Słomińskiem, ogłosił się bankrutem i uciekł za granicę, rujnując przez to wielu kupców.

¶ W Warszawie odbył się pogrzeb męża i żony Marczyńskich którzy w jednym dniu i jednej godzinie zmarli lecz nie na żadną epidemiczną chorobę, jest to objawem bardzo wyjątkowym.

Polacy w Ameryce.

* Prianowski. który zamordował J. Martinkiewicza na weselu w Green Rigde, Pa., 2 miesiące temu, został zabity w małej miejscowości w pobliżu Pittsburga, w bójce.

* W Utica, N. Y. Polacy zamierzeją budować kościół i już kilkaset dolarów na ten cel zebrali z dobrowolnych składek.

* W Nanticoke Pa., dziecko J. Krasińskiego pozostawione bez nadzoru wpadło do kotła z wrzącą wodą — i wskutek odniesionych poparzeń zmarło

* W Wilkes-Barre, zmarł Polak Andrzej Pawelski wskutek cieżkich uszkodzeń odniesionych pod kołami pociągu kolejowego.

* Shamokin, Pa. Ob, Świątek idąc do pracy pośliznął się, przyczem padając poniósł znaczne uszkodzenie wewnętrzne, wskutek których zakończył życie.

* W Baltimore zamieszkały elektrotechnik Polak, p. Kozłowski wynalazł aparat automatyczny do sygnalizowania pożaru.

* W Chicago pracownicy Dziennika Polskiego złożyli na pomnik Kościuszki 5 dol.

BACZNOSC POLACY!

Obecnie nadarza się wielka sposobność założenia swego własnego gospodarstwa w żyznej i pięknej okolicy, położonej nad Red River w Minnesocie. Nie ociągajcie się, ale póki czas wybierzcie sobie ziemie na farmę, gdyż później będzie otworzona rezerwacja Indjańska z Red Lake a wówczas do 15,000 ludzi zgłosi się do zakupna gruntów w Crookston, co nastąpi nie dalej jak około 1 Czerwca, 1896.

Trzy polskie kolonie zostały już założone w roku 1895, Lewakowski, blisko Agryle, Stanisławowo, blisko Stephen i Kroże przy Hallock.

Jeżeli Was to interesuje piszcie pod adresem: Land Commissioner. Great Northern Ry. St. Paul. Minn., a otrzymacie bezpłatnie mapy i ilustrowane Broszury. Również otrzymacie szczegółowe informacje, tyczące się wolnych rządowych gruntów, jak i metodę sprzedaży ziemi przez Great Northern Co., polegającą na łatwych częściowych spłatach.

Broszury wszelkie są drukowane w polskim języku.

Z KRAINY ŚMIECHU.

— Piękny to kraj Egipt, ale strasznie tam gorąco. Wyobraź sobie, że raz pod piramidami ugotowałem jaja na słońcu!

— To jeszcze nic w porównaniu z Zanzibarem. Tam jest tak gorąco, żeśmy gotowali jaja przy blasku księżyca.

Hrabia de Vivonne miał krewnego, księcia d'Aumont, sławnego z tuszy. Raz skarżył się przed Ludwikiem XVIII. że cierpi na zawroty głowy.

— Zamało masz ruchu, Vivonne — odrzekł król na to.

— Jakto! zamało ruchu — zawołał dowcipny dworak — daję słowo Waszej Krolewskiej Mości, że codzień najmniej trzy razy obchodzę w około mego kuzyna, księcia d'Aumont.

— Co to Józka nie widać?

— A no, pokierował jakiemuś sztrabanclowi zegarek, chwytnęli go do nia, odebrali mu zegarek, a dali... łańcuszek.

Doktor: — Pan się prawdopodobnie pomylił w adresie: ja jestem lekarzem chorób kobiecych...

Pacjent: — A właśnie, panie doktorze, bo ja strasznie cierpię na słabość.... do kobiet.